

Pięć książek

Jakiś czas temu dostałam od Remka [1] mail-ankietę: "Czy masz ochotę podać mi pięć tytułów najważniejszych książek, które wpłynęły na Ciebie, Twoje życie albo Twoją pracę, może stosunek do świata, z ew. jednozdaniowym wyjaśnieniem, dlaczego ten tytuł akurat."

...i odtąd czuję się jak Brigitte Bardot duszona przez tłum wielbicieli w filmie "Życie prywatne", każdy coś krzyczy, każdy chce się do mnie dopchać, każdy chce, bym go dostrzegła i wyróżniła... I jak tu wybrać piątkę gdy taki natłok?

Bo ja jestem proszę pana tym, co Niemcy nazywają z niemiecką dbałością o precyzję "Büchernarr". Grzeczne słownikowe tłumaczenie "biblioman" nie oddaje powagi tudzież wagi przypadłości, to musi być prawdziwy germański "Narr", czyli wariat, szaleniec, pojeb... Büchernarr to ktoś, kto ma na punkcie książek pierdolca, zajoba, kota... krótko mówiąc, ja.

Nie tylko chcę przeczytać wszystko, na co mam ochotę, ale lubię każdą moją ulubioną książkę posiadać i wracać sobie do niej w dowolnie wybranej chwili. Tu *być i mieć* zlewa mi się w jedno. Poza nielicznymi wyjątkami posiadam prawie wszystkie książki z całego mojego czytelniczego życia. Tym samym moja biblioteka gromadzona już dobre pół wieku waży tony i są w niej zarówno ostatnio nabyte książki jak i te z najodleglejszego dzieciństwa.

Wszystkie przeprowadzały się ze mną wielokrotnie, zjeżdżyły ze mną Polskę i Europę. Niektóre jeździły też ze mną w różne miejsca w świecie, bo lubię sobie dobierać lektury powiązane jakoś z miejscami, w których przyszło mi się znaleźć. Ostatnio wszystkie wróciły do Polski. Dwiema ciężarówkami (co nie znaczy, że to ich ostatnia podróż, planuję zmianę adresu) [2]. Nie tylko lubię je czytać, lubię je układać, przekładać, dotykać, czytać od nowa, kartkować, wachać, przypominać sobie kiedyś pozaznaczane cytaty, zakreślać nowe, albo choćby tylko patrzeć na nie...

Moje książki są wpisane w moje życie, te nieprzeczytane także, bo i takie się zdarzają, może je kiedyś jeszcze przeczytam, a może nigdy, ale chcę je mieć... I jak tu teraz wybrać pięć spośród nich nie robiąc krzywdy wszystkim pozostałym?

Z powodu maila Remka najpierw wpadłam w popłoch, ale potem zrobiłam sobie porządną remanent. Tym sposobem wyłowiłam swoją gwiazdorską piątkę. Protokół z remanentu wygląda tak: statystycznie rzecz biorąc od 6/7-go roku życia czytam przeciętnie po dwie książki tygodniowo. Czasami czytam mniej, czasami więcej, poza tym, jeśli nie muszę, nie czytam szybko, lubię powoli, lubię się zżywać z książką, nie rozstawać zaraz po przeczytaniu... Dyskutować z autorem, z bohaterami. Dopisywać lub domyślać wątki, dialogi, alternatywne zakończenia...

Poza tym, odkąd nastały nam czasy wirtualne, moje czytanie zrobiło się isticie multimedialne, gdyż w trakcie czytania robię sobie odskocznię do Internetu i oglądam zdjęcia lub filmy (czy filmiki) powiązane z lekturą (jako dodatkowe uzupełnienie książek artykułami o nich, recenzjami, wywiadami, wystawami, spotkaniami z autorami, a nawet docieraniem do miejsc, gdzie odbywa się akcja, i/lub żył autor, a także ekranizacjami i inscenizacjami). Niekiedy udaje mi się poznać autora osobiście. Czasami zrobić z nim wywiad, sesję fotograficzną. Czasami piszę recenzję.

Przeważnie też czytam kilka książek jednocześnie, inne w dzień, inne w pociągach, tramwajach, inne do poduszki czy w wannie, jeszcze inne, gdy piszę jakiś artykuł i książki służą mi jako pomoc merytoryczna. Odkąd też znam kilka języków (jeden bardzo dobrze, inne gorzej), czytam w kilku językach. Gdy trzeba, z pomocą słowników. Zdarzało mi się też - i to wcale nierzadko - czytać książki na głos w różnych sytuacjach z bliskimi mi osobami.

Jednym słowem czytanie jest tym czymś, czemu od zawsze poświęcałam bardzo dużo uwagi i czasu (o pieniądzach nie wspominając, ale wydatek na książkę to w gruncie rzeczy mnożenie bogactwa a nie ubytek). Czytanie jest integralną częścią całego mojego życia, tego sprzed umiejętności samodzielnego czytania także, bo wtedy czytała mi mama. Nie chcę nazywać tego nałogiem, bo nałóg, to coś szkodliwego, ale że czytam zachłannie, jest to namiętność.

Mogłabym - parafrazując starożytne "*navigare necesse est, vivere non est necesse*" - powiedzieć "*czytanie jest koniecznością, życie nie jest koniecznością*", gdybym miała żyć i nie czytać, wolałabym nie żyć. Nawet wtedy gdy nie czytam, czytam. To jak z każdą namiętnością - siedzi w głowie i wpływa na wszystkie dziedziny życia. Kto ma podobnie, ten doskonale wie, o czym mówię. Jest to porównywalne z życiem artysty. Muzyk, nawet jak nie gra, gra w myślach, malarz-artysta nie malując maluje w wyobraźni, rzeźbiarz czuje w palcach materiał, nawet jak akurat nie rzeźbi.

Jeżeli więc tygodniowo, licząc realistycznie, czytam statystyczne dwie książki, to przez 50 lat przeczytałam ich ok. 5200. To by się zgadzało, bo moja biblioteka ma na chwilę obecną ok. 15 tysięcy książek. W tym dwie trzecie to wydania encyklopedyczne, albumy, leksyka, słowniki, poradniki, krótko, książki, z których korzystam na wrywki (i znowu Niemcy mają na wszystkie jedno celne słowo: "*Nachschlagewerke*", ~"książki do wertowania").

Gdybym z tych 5200 miała wybrać po 5 na rok, byłoby ich 250. I to byłoby realne: "Dwieście pięćdziesiąt tytułów najważniejszych książek, które wpłynęły na Twoje życie". Proszę bardzo. Z przyjemnością. Ale pięć? 5? Czyli jedną na dziesięciolecie życia i czytania? Po jednej z 1040 tytułów? Niewykonalne!

Żeby jednak jakoś wywiązać się z zadania odrzuć z tych 5200 wszystkich przeczytanych książek te, które nie są powieściami. Odrzucam więc: poezję (z wyjątkiem eposów, bo są to niejako powieści wierszem), sztuki teatralne, literaturę faktu, reportaż, pamiętniki, listy i dzienniki, autobiografie, biografie i monografie, książki popularnonaukowe, specjalistyczne, eseje i wywiady, poradniki, książki paranaukowe (typu *Dänikeny*, *Atlantydy*, *trójkąty bermudzkie*, *końce świata...* bo i takie, bywa, czytuję)...

Uff, z 5200 odpada jakieś dwie trzecie, zostają 1733 tytuły. Z tego odrzuć jeszcze i te wszystkie, których autorów czytałam w całości lub prawie w całości i z których trudno by mi było wybrać po jednym tytule. Wiem, to unik, ale i bo pod przymusem.

A zatem na pierwszym miejscu i na całe życie był, jest i będzie Stanisław Lem [3], na drugim (bo zaczęłam go czytać znacznie później) Dostojewski. A także, w poszczególnych czytelniczych etapach: Verne, Wells, Twain, Balzac, Mann, Hesse, Prus, Dąbrowska, Żeromski (tak, tak, Żeromski też), Tołstoj, Graves, Conrad, Oz, Hłasko, Chwin, Galsworthy, Proust (dwaj ostatni po jednym tytule wprawdzie, ale trochę jak "Komedia Ludzka" Balzaca, dzieło życia w jednym) oraz, na miejscu wyróżnionym Simone de Beauvoir i Virginia Woolf - ostatnio zaś - Stieg Larsson. A także od całkiem niedawna Mario Vargas Llosa, którego odkryłam dopiero po tym, jak ogłoszono, że zdobył Nobla, czytam go od października 2010 roku.

Dla ułatwienia zróbmy z tego równy tysiąc. Zostają 733 tytuły. Ciągłe jeszcze ciężko wybrać 5, więc jeszcze jeden myk, wybrałam książki tylko z mojej pierwszej czytelniczej dekady, wszak stały się bazą na resztę życia.

I oto moja lista:

1. Homer, "Odyseja" - "Odyseję" znam od małości, a to dlatego, że - jak dalece sięgam pamięcią - mieliśmy w domu tzw. "aparatus do wyświetlania filmów", bakelitowy projektor do ręcznego kręcenia korbką, obrazek za obrazkiem. Z podpisami. Tak naprawdę był to więc rzutnik. W repertuarze było kilka bajek a wśród nich moja ulubiona "Podróże Odyseusza". Znałam ją na pamięć, widziałam nieskończone ilości razy i nigdy mi się nie znudziła (póki co nie rozróżniałam bajek i mitów). Mama dopowiadała mi szczegóły. Zrozumiałe, że był to zaczn do "Iliady" i "Odysei" a także mitologii, historii starożytnej, "Eneidy", "Herkulesa z mojej załogi" itd. itp. oraz - jak

teraz wiem - relatywizmu wierzeniowego [4], świat, w który wkraczałam, roił się od bogów. "Odyseję" czytałam wielokrotnie w różnych tłumaczeniach (w końcu także po niemiecku) i różnych sytuacjach (na przykład w czasie licznych podróży po Włoszech - po trosze "śladami Odyseusza", czy to lądem, czy morzem). Od "Podróży Odyseusza" wiedziałam, że życie to jedna wielka przygoda. To wtedy załęgło się we mnie przekonanie, że tak wygląda życie w ogóle i tak będzie wyglądało moje. I pewnie dlatego wygląda. Każdemu jego odyseja.

2. Wolter, "Kandyd czyli optymizm" - i z "Kandydem" zetknęłam się bardzo wcześnie, bo był w domu i wyglądał z ilustracjami Uniechowskiego jak niewinna książka dla dzieci (wydanie z roku MDMXLIX, 1949, tł. Boy), sięgnęłam po nią mając 10/11 lat i trochę się nad nią namęczyłam, ale przy pomocy mamy przebrnęłam przez wiele nowych pojęć, zjawisk i geograficznych nazw, pamiętam, duże wrażenie zrobił na mnie Konstantynopol; "Kandyd" zaszczepił we mnie przekonanie, że świat jest znacznie bardziej skomplikowany niż myślałam, życie, to, owszem, jedna wielka przygoda, ale niektórych przygód lepiej się wystrzegać a najbardziej trzęsień ziemi i Bułgarów (inna sprawa co na to Hubert Urbański i urocza Wioletta - Fiolka - Najdenowicz?). Ponieważ i moje życie stało się jedną wielką przygodą z nieoczekiwanymi zwrotami i pułapkami, "Kandyda" przyszło mi przeczytać po francusku do mojej drugiej matury w życiu, gdy pierwsza, polska, okazała się w moim prywatnym starciu z wielkim światem niewystarczająca [5].

3. Aleksander Dumas, "Hrabia Monte Christo" - polityka i pieniądze, tajemnicze intrygi i absolutna niemoc, to kolejne doświadczenie zrobione dzięki lekturze książki. Zadośćuczynienie. Dwie strony medalu sprawiedliwości. Słodczy i gorycz zemsty. Załączek etycznych rozterek. Oto, czego nauczyłam się w wieku 11/12 lat od starego Dumasa. Oraz jeszcze jednego. Że człowiek nie musi się ruszać z miejsca, żeby przeżyć przygodę, bo wiedza sama w sobie jest przygodą. I że daje ogromną przewagę. Zapamiętałam sobie tę naukę na całe życie. Tak się złożyło, że faktycznie część życia spędziłam (z moim mężem żeglarzem) na morzu. Kiedy w grudniu 1990 roku uciekaliśmy na wyspę Ratonneau przed wściekłym lodowatym mistralem uniemożliwiającym nam dopłynięcie do portu w Marsylii, przepływaliśmy obok wypy d'If z jej ponurym zamczyskiem. W dzisiejszych czasach można sobie w Marsylii wykupić wycieczkę i zwiedzić więzienie, w którym Edmund Dantes spędził całe 14 lat. Ale to latem. W zimowym słońcu wysepka nadal wygląda groźnie i nieprzystępnie wśród rozhuśtanych mistralem fal. W innych żeglarskich wyprawach przepływaliśmy niejedną raz blisko włoskiej wyspy Montecristo wzdychając na myśl o bogactwach w jej jaskiniach. Niestety, a może stety, wyspa jako rezerwat przyrody jest objęta całkowitą ochroną. I dobrze. Niech chroni swoich skarbów.

4. Daniel Defoe, "Robinson Cruzoe" - ach, uciec na jakimś żaglowcu w świat i zostać rozbitkiem! Takim najprawdziwszym, sam(a) na wyspie, sam na sam z życiem. Jakies 12/13 lat miałam, gdy zaczytywałam się w przygodach Robinsona i do wszystkiego, z czym on się mierzył, robiłam własne przymiarki. Oczywiście kochałam moich rodziców, ale widać już zaczynałam się na dobre odpepkiwać, bo nieustraszenie wyruszałam w świat, a nawet we wszechświat ("Obłok Magellana" Lema, "Wielka, większa i największa" Broszkiewiczza, "Mgławica Andromedy" Jefremowa...) zostawiając ich bez żalu daleko w domu. Robinson tak świetnie sobie radził, więc dlaczego nie ja? Potem już wiedziałam, że nie chciałabym wylądować na bezludnej wyspie, bo to zgroza, faktycznie, w moim dorosłym żeglarskim życiu udało mi się zahaczać o bezludne wyspy i na wspomnienie o tym, że kiedyś o nich marzyłam, oblewał mnie zimny pot (bardzo realistycznie przedstawili to Zemeckis/Hanks w "Cast Away", "Poza światem" dlatego bardzo lubię ten film) ale był czas, gdy wyobrazenie, że wokół mnie nie ma ludzi, że sama muszę sobie ze wszystkim radzić, gospodarzyć, budować palisady, siać i zbierać ziarno na chleb, było jednym z moich słodszych marzeń, przynajmniej dopóki nie odkryłam kolejnej "najulubieńszej" lektury mojego życia.

5. Boccaccio, "Dekameron" - to była moja lektura w roku 1968, w wakacje między szkołą podstawową a liceum. I niech mi ktoś teraz powie, że dobór lektur to przypadek! One same jakimiś sobie tylko znanymi magicznymi sposobami wkraczają w życie i same się każą czytać. "Dekameron" nieraz wśród domowych książek objął mi się o oczy, ale nie wyglądał już tak zachęcająco, jak "Kandyd", więc trochę to trwało, zanim się do niego przekonałam. A "Dekameron" tylko potwierdzał, że oprócz fantastycznych podróży i mimo nieszczęść, wojen, chorób i katastrof jakie spadają na ludzi, jest jeszcze coś niezwykle ekscytującego wartego przeżycia, co coraz wyraźniej

przeczytałam. Do mojego programu na życie doszła naturalną kolejną rzeczą miłość. Wydekoltowane zdjęcia Marilyn Monroe, Sophii Loren, Giny Lollobrigidy, Claudii Cardinale i Brigitte Bardot, które od 11-go roku życia z pasją nieomal równą z tą do książek kolekcjonowałam, odegrały w moim dorastaniu do kobiety kardynalną rolę. Tak, to mi się podobało, *l'avventura e l'amore*. "Il Decamerone" polubiłam w lato, w które uczyłam się, że całowanie się jako wstęp do tych przyjemności, o których tak obiecująco rozpisywał się Boccaccio, otwiera i dla mnie nowy rozdział w życiu.

* * *

Remanent jak to remanent, porządkuje, więc podaję również inne ważne "piątki".

Najważniejsze pojedyncze powieści, które zasadniczo odmieniły moje postrzeganie świata:

1. Erich Maria Remarque, "Na zachodzie bez zmian"
2. Joseph Heller, "Paragraf 22"
3. Michał Bułhakow, "Mistrz i Małgorzata"
4. Arundhati Roy, "Bóg rzeczy małych"
5. Sherko Fatah, "Czarny statek"

Najsympatyczniejsze i najzabawniejsze książki:

1. Joanna Chmielewska, "Całe zdanie nieboszczyka"
2. Jerome K. Jerome, "Trzech panów w łódce nie licząc psa"
3. Shirley Jackson, "Życie wśród dzikusów"
4. Gerald Durrell, "Moja rodzina i inne zwierzęta"
5. Redmond O'Hanlon, "W sercu Borneo"

Oraz, na koniec, najważniejsze nie-powieści:

1. Hoimar von Ditfurth, "Dzieci wszechświata"
2. Carl Friedrich von Weizsäcker, "Jedność natury"
3. Erich Fromm, "Ucieczka od wolności"
4. David S. Landes, "Bogactwo i nędza narodów"
5. Philip Zimbardo, "Efekt Lucyfera"

Wszystkie książki Ryszarda Kapuścińskiego mają swoje osobne miejsce w mojej bibliotece, głowie i sercu.

*

A oto wersja skrócona, czyli odp. na mail Remka:

Pięć książek? A zatem remanent. Powiedzmy, że statystycznie tygodniowo czytam dwie książki, przez 50 lat przeczytałam ich więc ok. 5200. Odrzucam dwie trzecie tych, które nie są powieściami, poezją (z wyjątkiem eposów, bo są to niejako powieści wierszem), sztuki teatralne, literaturę faktu, reportaże, pamiętniki, listy i dzienniki, autobiografie, biografie i monografie, książki popularnonaukowe, specjalistyczne, eseje i wywiady...

Zostają 1733 tytuły. Z tego odrzucam jeszcze i te wszystkie, których autorów czytałam w całości lub prawie w całości i z których trudno by mi było wybrać po jednym tytule: Stanisław Lem, Dostojewski, Wells, Mann, de Beauvoir, Oz i inni, od Nobla Mario Vargas Llosa...

Dla ułatwienia niech to będzie równy tysiąc. Zostają 733 tytuły. Ciągle jeszcze ciężko wybrać 5, więc jeszcze

jeden myk, wybieram książki tylko z mojej pierwszej czytelniczej dekady, wszak stały się bazą na resztę życia:

1. Homer, "Odyseja" - morskie przygody w świecie pełnym bogów, stworów, niespodzianek i nagłych zwrotów, to wtedy załęgło się we mnie przekonanie, że tak wygląda życie w ogóle i tak będzie wyglądało moje, faktycznie, żyłam tak na lądzie jak i na morzu życiem pełnym niespodzianek i nagłych zwrotów, każdemu jego odyseja.

2. Wolter, "Kandyd czyli optymizm" - zaszczepił we mnie przekonanie, że świat jest znacznie bardziej skomplikowany niż myślałam, życie, to, owszem, jedna wielka przygoda, ale niektórych przygód lepiej się wystrzegać.

3. Aleksander Dumas, "Hrabia Monte Christo" - dwie strony medalu sprawiedliwości, słodycz i gorycz zemsty, załazek etycznych rozterek, oto, czego nauczyłam się od starego Dumasa, oraz tego, że człowiek nie musi się ruszać z miejsca, żeby przeżyć przygodę, bo wiedza sama w sobie jest przygodą.

4. Daniel Defoe, "Robinson Crusoe" - ach, uciec w świat i zostać rozbitkiem, sam na sam z życiem, zaczytywałam się w przygodach Robinsona i do wszystkiego, z czym on się mierzył, robiłam własne przymiarki, Robinson tak świetnie sobie radził, więc dlaczego nie ja?

5. Boccaccio, "Dekameron" - to była moja lektura w roku 1968, w wakacje między szkołą podstawową a liceum, czytając odkrywałam, że oprócz fantastycznych podróży i mimo nieszczęść, wojen, chorób i katastrof jakie spadają na ludzi, jest jeszcze coś niezwykle ekscytującego wartego przeżycia, co coraz wyraźniej przeczuwałam.

i mój sonet w hołdzie Odysowi:

sonet o O.

*na wyspie naznaczonej zielenią i solą *
zapisanej historią jak kartki zeszytu
pod górą tryskającą do granic błękitu
gdzie zmysły od wrażeń to śmieją się to bolą*

*wśród świątyń starożytnych i współczesnych witryn
w miasteczkach na wpół greckich na wpół katolickich
gdzie śpiewa jeszcze echo handlarzy fenickich
w cieniu drzewek oliwnych i kwitnących cytryn*

*tam gdzie cyklop wyteżał swoje jedno oko
a Gorgona syczała wężami wśród włosów
wylądował podróżny mierzący wysoko*

*co śmierci właśnie dotknął pośród syren głosów
a skórę miał starganą smaganiem scirocco
- i żyje nieśmiertelny wyrokami losu*

* Na zachodnim wybrzeżu Sycylii, o której mowa, jest port Trapani, stolica prowincji o nazwie Trapani. Całe wybrzeże wokół usiane jest kopczykami soli odparowanej z wody morskiej.